

ADAM WIARYGA-MINIESKI

# Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

17

— Tak, Krzycki to jej dawna i jedyna miłość... To ciekawa historia, ale opowiem ci o niej kiedy indziej, a teraz chodź, zabieram cię do nas! Hanka jest w domu, więc przypuszczam, że i Krzycki się zjawi...

— Idę Stasiu natychmiast z tobą!...

— Pożegnajże się przynajmniej z panem Montwillem — zauważyła Stasia, z złośliwą satysfakcją obserwując bladą, wzburzoną twarz Montwilla, który stał nieruchomo z przyciętymi ustami.

Starał się zachować spokój, ale najmniej bystre oko spostrzedz mogło, ile go wysiłku woli ten spokój kosztuje.

Miłość Stasi nieodwzajemniona przeszła w nie-nawiść i syciła się teraz z rozkoszą widokiem jego upokorzenia i bólu.

Oczy Stasi mówiły: cierpiałam ja, cierp i ty.

— Aha prawda, z panem Montwillem — mówiła Anielka, która zapomniała w radosnym uniesieniu o obecności swego towarzysza — Przepraszam pana... pan daruje, ale muszę pożegnać.

— Rozumiem. Proszę, niech pani nie krępuje się mną — odpowiedział Montwill głosem głuchym, ochryplym, jakby nie swoim.

Stasia uprowadziła Anielkę, rzucając Montwillowi jeszcze jedno spojrzenie tryumfujące odwetem.

Pani Krystyna przyszła do domu w bardzo złym humorze. Przez cały dzień nic się jej nie wiodło. Już rano, pudrując się, spostrzegła w kątach oczu cieniutkie siatki zmarszczek. Może te zmarszczki były tam już dawniej, ale ona właśnie dzisiaj je zauważyła. Potem, kiedy czesała swoje bujne włosy, znalazła na grzebieniu kilka srebrnych nitk.

Siwe włosy — zapowiedź skradającej się starości.

Po obiedzie wybrała się jak zwykle do szpitala w Rudolfinum, ale u Walczaka spotkała Krzyckiego. Nie pozostawało jej więc nic innego, jak zamienić kilka obojętnych zdań i pożegnać się, bo widocznym było, że młodzi ludzie mają sobie wiele do powiedzenia.

Pani Krystynie zdawało się przytem, że Krzycki jakoś złośliwie i drwiąco przypatruje się jej.

Nie wiedziała, co począć z resztą dnia. Początkowo zamierzała udać się na Karlin do szpitala, w którym już dawno nie była, rozmyśliła się jednak.

Upał zniechęcił ją do tak dalekiej wycieczki.

Zaprzagnęła odwiedzić jedną ze swoich znajomych, coś kiedy nie zastała jej w domu.

Wstąpiła do kawiarni na lody, aby ochłodzić się trochę i spotkała się tam z kilku znajomymi osobami.

Rozmowa toczyła się wyłączenie dokola wyjazdu z Pragi — wszystkich ogarnęła gorączka powrotu.

Do kraju! Do kraju, jak najprędzej.

— Kiedy pani wyjeżdża — pytano panią Krystynę.

— Może pani dopomóż w załatwieniu formalności? — ofiarował się jakiś uprzejmy jegomość — bo to trzeba mieć i legitymację z fotografią i poświadczenie z policji... Dla kobiety trudno wystarać się o to wszystko.

Kiedy zaś pani Krystyna oświadczyła, że nie ma zamiaru w najbliższym czasie powracać do kraju — ozwał się szmer zdziwienia.

— Dlaczego? dlaczego? — pytali wszyscy.

Pani Wolska odpowiedziała wymijająco, aby jednak przerwać niemiłą dla siebie rozmowę, pożegnała się i wyszła.

Zrozpaczona całodziennym niepowodzeniem, zdecydowała się pójść do kinematografu.

W przepelnionej sali „Bio Lucerna“ było tak gorąco i duszno, że trudno było oddychać.

Program nie zainteresował jej, to też nie czekając końca przedstawienia, poszła do domu.

Głowa ją rozboleła, czuła się zdenerwowaną i osłabioną.

W głębi ducha przyznawała słusność Anielce, że lato w mieście nie przedstawia się wcale po-nętne.

I jej przypominały się Zalesinki w wieńcu cienistych, balsamicznych lasów, oddychające w tym czasie wonią świeżo skoszonego siana.

A jednak z Pragi wyjechać nie chciała.

W domu stół do kolacji nie był jeszcze nakryty.

— Ach! Z tą służącą Czeszką trudno dojść do ładu — irytowała się pani Krystyna — już lepsza była Wikcia... I Anielki niema... Po ósmej już...

Trochę za długo przeciąga się ten spacer z Montwillem... To sensu niema, nie wypada... Przecież on jeszcze nie naręczony... Dzwoni ktoś... To pewnie ona!

Nie myliła się, była to Anielka. Do pokoju wbiegła raczej, niż weszła, uśmiechnięta, zaróżowiona, promieniejąca z błyszczącymi oczyma.

— Dobry wieczór cioci! Ciociu, cioteczko kochana!

Jak rozswawolony dzieciak poskoczyła ku ciotce, pochwyciła ją w pól, obróciła kilka razy w kółko i zaczęła całować.

Pani Krystyna nie była wcale usposobiona do czułości, wysunęła się więc dość niecierpliwie z objęć siostrzenicy.

— Co ty wyprawiasz, Anielko?!

— Oj! Ciociu, ciociu! Zeby ciocia wiedziała...

— Cóż takiego mam wiedzieć?

— No, nic... no... e... nic!...

Pani Krystyna ze zdumieniem spoglądała na siostrzenicę. Od wielu już miesięcy nie widziała jej tak wesołej, swobodnej i rozpromienionej.

— Wiesz Anielko, że ty wyglądasz tak, jakbyś nagle zwaryowała, albo niespodzianie szczęście na drodze znalazła.

— A może i znalazłam, ciociu, może znalazłam...

— Aha!

Pani Krystynie zdawało się, że odgadła powód radości Anielki.

— Montwill się zapewne oświadczył?!

— Komu?

— Jakto komu? Naturalnie, że tobie!

Anielka wybuchnęła rozgłosnym, młodzieńczym śmiechem.

— Mnie miał się oświadczyć?! Nie! Na szczęście nie oświadczył się.

— Więc czego ty się tak cieszysz?

Anielka nie odpowiedziała, ale zabrzmiała znowu gamą jej srebrzystego śmiechu.

— Możebyś mi była łaskawa powiedzieć, dlaczego tak się chichoczesz?

— Tak sobie, ciociu... Cieszę się, że na świecie tak ładnie... Taki śliczny dzień był dzisiaj.

— Co? Tobie się podobał upalny dzień letni w Pradze?! No, to znowu zupełnie coś nowego.

— Wie cioteczka, do wszystkiego przyzwyczaić się można... Doszłam do przekonania, że Praga jest zupełnie przyjemna, nawet w lecie.

Pani Krystyna wzruszyła ramionami.

— Cieszy mnie twój dobry humor, ale przyznać muszę, że stajesz się jakoś dziwnie kapryśna i nie-obliczalna. Gdzieżeś ty była do tego czasu? Na spacerze z Montwillem?...

— Nie, ciociu... Z Montwillem pożegnałam się dawno... Byłam u Staszyńskich.

— U Staszyńskich?! Znowu coś nowego! Przecież, o ile wiem, stosunki między nimi a tobą panowały naprężone. One okazywały ci wyraźną oziębłość, a ta Stasia robiła jakieś niegrzeczne prosto miny... O co jej chodziło, domyślam się... Skądże jednak taki nagły powrót do przyjaźni?

— E! to już minęło... W tem wszystkim było dużo mojej winy — zapewniała Anielka — dzisiaj przekonałam się, jakie to dobre, pocziwe dziewczęta. A Hanka, to za mąż wychodzi, wie ciocia?

Pani Krystyna aż zerwała się z krzesła.

— Co? Hanka wychodzi za mąż? Ta poważna, blada sensatka, która robiła wrażenie, jakby łąda dzień wstąpić miała do klasztoru. No, to tej różowej Stasi nie bardzo przyjemnie, że młodsza siostra — boć ona pomimo swego wyglądu, pono młodsza o lat kilka — wyprzedziła ją... A któż jest naręczonym?

— Porucznik Krzycki, w „cywilu“ kandydat na adwokata... Jest ranny, przybył więc do szpitala w Pradze.. Oni się z Hanką dawno, dawno kochali wtedy, kiedy ona była jeszcze podlotkiem.

— Porucznik Krzycki... — powtórzyła pani Krystyna.

Przed oczyma mignęła jej wyrazista twarz męska o energicznie zarysowanych rysach, wysokiem czołe i ciemnych bystrych oczach... Przypomniła sobie, że porucznik, odwiedzający Walczaka, nosił nazwisko Krzyckiego.

— No, to bardzo szczęśliwie dla Hanki.. — rzekła po chwili pani Wolska — Bierz z niej przykład, Anielko.

Anielka roześmiała się.

— Chciałaby ciocia tego? Dałaby mnie ciocia komuś, coby o to ładnie poprosił?...

— Może... — uśmiechnęła się pani Krystyna — Zależy, jak komu.

Po twarzy Anielki przediegł cień!

„Zależy jak komu“... — powtórzyła sobie w myśli.

Nie mogła jednak długo smucić się, fala powracającej wesołości, radości życia opłynęła ją...

Filuternie uśmiechając się, zaśpiewała:

„Moja ciociu, nie bądź sroga,  
Ja mam już dwadzieścia lat.  
Wydajże mnie ach! dla Boga,  
Wydajże mnie prędko w świat“.

Pani Krystyna zdziwiła się znowu. Czuła się dzisiaj jednak tak zmęczona, że nie miała ochoty badać powodów zmiany usposobienia siostrzenicy, która kręciła się po pokoju, śmiejąc się, opowiadając jakieś drobnostki z przeżyć dnia.

— Moja Anielko — przerwała jej ciotka — powiedz służącej, aby nakryła do kolacji... Późno już, a ja chciałabym spać się położyć... Głowa mnie boli...

— To cioteczka głowa boli, a ja gadam i gadam, jak terkotka!... Już milknę, ciociu! Zaraz zajmę się kolacją, bo i ja jestem głodna, straszliwie głodna... Wilczy apetyt mam poprostu...

Pomimo zapewnień o „wilczym apetycie“ Anielka nic prawie jeść nie mogła. Wzruszenie scisnęło jej gardło. Gorącą herbatę piła tak pospiesznie i nie-uważnie, że poparzyła sobie usta.

Pani Krystyna jadła również mało i milczała, przykładając co chwila rękę do czoła.

Nagle Anielka przestała pić herbatę, spojrzała na ciotkę i z filuternym uśmiechem zapytała:

— Pójdzie ciocia jutro do szpitala w Rudolfinum?

Pani Krystyna drgnęła.

— Dlaczego pytasz o to?

— No, tak sobie — ciągnęła dalej z zagadkowym uśmiechem Anielka — Chciałam się dowiedzieć, jak się miewa ten ranny oficer, którego ciocia tak często odwiedza.

Pani Krystyna uczuła, że krew uderzyła jej do twarzy. Czyżby anielka chciała zrobić jakieś aluzje? Może posłyszala jaką złośliwą plotkę i ośmiela się powtarzać ją?

Gniew zatargał panią Wolską na to mniemane zuchwalstwo siostrzenicy.

— Moja kochana — zawołała podniesionym głosem i tonem bardzo ostrym — co to znaczy?! Od kiedy nauczyłaś się kontrolować i krytykować swoją ciotkę i opiekunkę?! Rzeczywiście pięknej doczekałam się pociechy!

Anielka spojrzała wystraszona i stropiona. Ona tak się cieszyła, kiedy się dowiedziała, że to właśnie Kazimierz jest tym rannym, którym tak bardzo interesuje się pani Krystyna.

Chciała od razu biedz do ciotki, rzucić się jej na szyję, podziękować, opowiedzieć wszystko, podzielić się z nią swoim szczęściem.

Z trudem udało się Krzyckiemu i Staszyńskim przekonać ją, aby przez czas jakiś jeszcze zachowała tajemnicę.

A teraz ciotka tak się rozgniewała z powodu niewinnego zapytania. Dlaczego?

— Ależ, cioteczko — mówiła zmieszana — Skądże myśl o jakiejś kontroli czy krytyce?... Przecież ja...

— Dość tego! — przerwała jej nie łagodząc tonu pani Krystyna — Prawdopodobnie te rozmaite emancypowane panie i panny, z którymi zapoznałaś się, udzielają ci takich lekcji poszanowania dla starszych! Ale ja na to nie pozwolę! Wypraszam sobie na przyszłość wszelkie tego rodzaju uwagi i zapytania — rozumiesz? Proszę cię, nie irytuj mnie! I tak głowa mnie boli, nie mam więc ochoty, aby mnie z twojej łaski rozboleła mocniej.

Anielce, tak surowo zgromionej, zakreśliły się w oczach łzy. Nie pojmowała zupełnie, co właściwie w jej słowach było tak zdrożnego i niewłaściwego, ale pytać nie śmiała.

Na słoneczną jej radość padł jakiś cień.

Nie odezwała się już więcej ani słowa, szybko wypila herbatę i rzuciwszy ciotce krótkie „dobranoc“, poszła do swego pokoju.

Kiedy znalazła się sama, zapomniła zaraz o przykrem zajściu z ciotką.

Dzisiaj nie mogła przecież długo smucić się ni martwić, nie mogła myśleć, jak tylko o szczęściu swoim, które powróciło, i o Kazimierzu.

— Zyje! Zyje! Zyje! — powtarza głośno Anielka, pieścić się dźwiękiem tego słowa, które brzmi jej w uszach, jak anielska muzyka.

Przypomniła sobie, jak to Krzycki, patrząc jej uważnie w oczy, opowiadał, że Kazimierz ciężko ranny... Niebezpieczeństwo życia wprawdzie już minęło, chory zaczyna nawet wstawać, jednak bardzo możliwą rzeczą jest, że pozostanie na zawsze kaleką.

Czy Krzycki myślał, że ona zleknie się, odstąpi Kazia w nieszczęściu?

— Jeżeli pozostanie kaleką, to tem więcej będę mu potrzebna, bo jestem silna i zdrowa! — odpowiedziała.

Krzycki wówczas spuścił oczy.

Nad łóżkiem Anielki wisi kopia Rafaelowskiej Madonny Sykstyńskiej. Dziewczynie zdaje się, że